

MACIEJ JOŃCA, REINHARD ZIMMERMANN

Uniwersytet Szczeciński, Max-Planck-Institut für Ausländisches und Internationales Privatrecht

JĘZYK JEST KLUCZEM DO POZNANIA KULTURY

Maciej Jońca¹: Panie profesorze, proszę pozwolić, że zacznę *ab ovo*. Jak rozpoczęła się pańska przygoda z prawem rzymskim?

Reinhard Zimmermann²: Wszystko zaczęło się właściwie już w szkole. Uczęszczałem do gimnazjum humanistycznego. Tam uczyłem się przez

¹ Maciej Jońca – polski romanista i historyk sztuki. Ogłaszane sukcesywnie rozmowy z badaczami oraz popularyzatorami nauk o starożytności wydał w zbiorze *Personae-Res-Actiones. Rozmowy o prawie rzymskim i historii prawa* (Lublin 2021).

² Reinhard Zimmermann (ur. 1952) – niemiecki prawnik i nauczyciel akademicki. W latach 2002-2022 dyrektor Max-Planck-Institut für Ausländisches und Internationales Privatrecht z siedzibą w Hamburgu, a od roku 2011 przewodniczący Studienstiftung des deutschen Volkes. Absolwent wydziału prawa uniwersytetu w Hamburgu. W latach 1981-1988 kierownik Chair of Roman Law and Comparative Law na University of Cape Town (RPA). Po powrocie do Niemiec profesor zwyczajny na uniwersytecie w Regensburgu, a także wizytujący profesor m.in. na: University of Chicago, Tulane University, Cornell University, Universität Stellenbosch, University of Edinburgh, University of California, Berkeley, University of Auckland, Yale University, University of Cambridge oraz University of Oxford. Autor wielu opiniotwórczych publikacji. Jego badania koncentrują się na prawie zobowiązań oraz prawie spadkowym, które profesor poddaje analizie w ujęciu historycznym oraz prawnoporównawczym. Najbardziej rozpoznawanym dziełem Reinharda Zimmermanna jest monografia *The Law of Obligations: Roman Foundations of the Civilian Tradition* ukazująca wiele złożonych procesów, które wpłynęły na kształtowanie się współczesnych modeli stosunków zobowiązaniowych. Uwzględnił w niej nie tylko prawo rzymskie, lecz także przebogatą spuściznę średniowiecznej kanonistyki. Dzieło to zaliczono do grupy najbardziej wpływowych prac jurystycznych w XX wieku.

dziewięć lat łaciny, a przez pięć lat greki. To mnie interesowało. Lubiłem poznawać język własny, a przez to niemiecką literaturę. Obok tego zgłębiałem inne języki współczesne, a także starożytne. W szkole miałem angielski. Francuskiego douczałem się na prywatnych korepetycjach. Obok tego moją wielką pasją była historia.

MJ: Rozumiem, że młodzieńcze zainteresowania pana profesora wpłynęły na Jego późniejsze wybory.

RZ: Poniekąd. Wiele czytałem. Uczyłem się sam. Nie pochodzę z rodziny posiadającej uniwersyteckie tradycje. Moi rodzice nie mogli więc udzielać mi rad w rodzaju „ucz się tego czy owego”, gdyż brakowało im doświadczenia. Dlatego zaraz po zakończeniu szkoły przez pierwszy semestr zrobiłem coś na kształt *studium generale*. Moją uwagę przyciągnęła wtedy teologia. Chodziłem na wykłady z tego przedmiotu i... nie spodobało mi się. W latach 70. XX wieku panowała tendencja do uprawiania „krytycznej teologii” polegającej na dekonstruowaniu wszystkiego. Na końcu tej drogi usadowiła się teologia bez Boga, a to nie jest świat mojej wiary. Zdystansowałem się i porzuciłem myśl o studiowaniu tego przedmiotu. Tymczasem podjęcie studiów z historii bądź filologii jawiło mi się jako wejście na akademicką drogę jednokierunkową. Uważałem, że po tych kierunkach jedyne, co można zrobić, to zostać nauczycielem w szkole, a ja chciałem mieć więcej możliwości. Wtedy ktoś (nie pamiętam już kto, mógł to być mój ojciec) powiedział mi: „a może spróbuj z prawem?”.

MJ: I spróbował pan profesor...

RZ: Tak. Zacząłem w semestrze letnim roku 1972 na uniwersytecie w Hamburgu (pochodzę też z Hamburga). Moim pierwszym wykładowcą prawa cywilnego był Hans Hermann Seiler. Zrobił na mnie wielkie wrażenie przez swoją integralność, przyjazną osobowość, a nade wszystko przez łatwość, z którą w jasny sposób potrafił przekazywać wykładany materiał. Zauważyłem wtedy, że profesor ten zajmuje się również prawem rzymskim. Już wcześniej bardzo interesowałem się językami i historią, więc profesor Seiler wydał mi się bardzo sympatyczny. Wykładał historię prawa rzymskiego oraz dokonywał egzegezy Digestów.

MJ: Podsumowując: pasjonował się pan profesor historią, uczył się pan profesor z zapałem języków, był ciekawy świata, spotkał inspirującego profesora i ostatecznie ta kombinacja popchnęła pana profesora w kierunku badań nad prawem rzymskim. To model, powiedziałbym, idealny. Obecnie mamy sporą grupę doktorantów, którzy nie znają języków, nie obracają się w międzynarodowym środowisku, ale chcą „badać” prawo rzymskie. Widzi pan dla tych ludzi jakąś nadzieję?

RZ: Nie da się badać prawa rzymskiego bez znajomości łaciny. W Niemczech istnieją jeszcze klasyczne gimnazja. Nadal więc zdarzają się młode osoby, które posiadają dobrą znajomość tego języka już na początku studiów prawniczych. Nie ma ich wielu, ale nawet wśród moich współpracowników mogę wskazać takich, którzy posiadają kapitał intelektualny zbliżony do mojego, kiedy zaczynałem. Kiedy tego nie ma, prowadzenie badań nad prawem rzymskim nie wydaje mi się możliwe. Można natomiast korzystać z omówień, a także opracowywać to, co napisano o prawie rzymskim. To takie badania komparatystyczne o podłożu historycznym. Opieramy się wtedy na tym, co jest, czyli na przekładach. Można sobie też wybrać inny obszar. Pandektyści pisali przecież po niemiecku. Inny przykład: interesuję się bardzo prawem rzymsko-holenderskim, a na ten temat napisano mnóstwo po holendersku. Nie wszystko jest więc po łacinie. Kiedy jednak ktoś chciałby się zająć *ius commune*, wtedy wracamy do punktu wyjścia: znajomość łaciny jest niezbędna. Na jej naukę nigdy zresztą nie jest za późno. Znam osoby, które przyswoiły sobie ten język w okresie późniejszym.

MJ: W swoich badaniach wiele uwagi poświęca pan profesor średniowiecznemu *ius commune*.

RZ: To ciekawy i złożony temat. Z jednej strony trwają zaawansowane badania nad *ius commune*. Z drugiej zaś istnieją ludzie, którzy nie wierzą w jego istnienie. Owszem, niekiedy kładzie się na nie nadmierny nacisk i być może zbyt mocno akcentuje, ale zaprzeczanie temu, że fenomen znany jako *ius commune* narodził się i istniał, nie ma dla mnie sensu. Można co najwyżej dyskutować o tym, na ile prawo w średniowieczu było „wspólne” i jak daleko sięgały różnice.

MJ: Znając pańskie początki, łatwo zrozumieć obecność w pana profesora pracach źródeł teologicznych i kanonistycznych. Nie jest to popularna maniera wśród uczonych prawników w Polsce.

RZ: Jak to? Przecież Polska jest bardzo katolickim państwem.

MJ: Zgadza się, ale w tym bardzo katolickim kraju sięganie w prawniczych rozprawach naukowych do źródeł kanonistycznych czy teologicznych uchodzi za nienaukowe.

RZ: Dziwne, szkoda.

MJ: Wielka szkoda! Prawo kanoniczne jest ważnym łącznikiem między prawem rzymskim oraz współczesnymi porządkami prawnymi. Współczesny polski porządek prawny zawdzięcza mu ogromnie dużo.

RZ: Podobnie było w Anglii. Tam również aż do czasów Henryka VIII prawo kanoniczne trzymało się bardzo mocno. Dlatego wiele rozwiązań prawnych wypracowanych jeszcze przez Rzymian przedostało się do prawa angielskiego właśnie *via* prawo kanoniczne. Weźmy na przykład prawo spadkowe. Trybunały kościelne rozstrzygały na wyspach również sprawy związane ze spadkami i ich dziedziczeniem. Opierano się w sporej mierze na prawie rzymskim. To znakomita manifestacja zasady *Ecclesia vivit lege Romana*.

MJ: A źródła teologiczne?

RZ: Wspomniałem już o swoich teologicznych zainteresowaniach. Obecnie jestem bardzo zaangażowany w działalność mojej wspólnoty. Regularnie czytam Biblię. Wszystko to u mnie jakoś naturalnie się ze sobą wiąże. Tematy pojawiają się same. Kiedy więc widzę u Łukasza fragment *Mutuum date, nihil inde sperantes*³, natychmiast staje mi przed oczyma rzymska pożyczka. Ostatnio znowu natrafiłem na pierwszy list św. Pawła do Koryntian, gdzie napisano: *hilarem enim datorem diligite Deum*⁴. Tu mamy z kolei regulację odnoszącą się do darowizn. Stoję na stanowisku, że te związki pomiędzy Pismem Świętym i prawem są niesłychanie interesujące. Powiem panu więcej: *Corpus Iuris Civilis* uważam za drugie co do ważności źródło zachodniej historii prawa. Pierwszym jest naturalnie Biblia. Przez stulecia w oparciu o jej fragmenty ludzie

³ Luc. 6,35: „pożyczajcie, nie spodziewając się niczego w zamian”.

⁴ 2 *Epist ad Cor.* 9,7: „miłuje Bóg bowiem radosnego darczyńcę”.

kształtowali swój system wartości i doskonalili aparat pojęciowy. Pełniła ona dla nich rolę punktu odniesienia i materiału pogładowego zarazem. Okoliczność ta nie mogła nie pozostawić śladów w dziełach prawniczych. W średniowieczu Kościół odegrał doniosłą rolę w rozwoju prawa. Wszak u źródeł prawa kanonicznego legły nakazy i zakazy biblijne. Widać to doskonale na przykładzie zakazu lichwy. Jeszcze ciekawsze wydaje mi się to, że oddziaływanie wartości chrześcijańskich na prawo współgrało z innymi czynnikami kształtującymi. To Arystoteles powiedział, że pieniądź jest bezpłodny: *pecunia pecuniam parere non potest*⁵. Tomasz z Akwinu tymczasem w równym stopniu inspirował się Biblią, jak i Arystotelesem. Do tego pojawiają nam się gdzieś w tle źródła rzymskie. Podsumowując, tego właśnie rodzaju związki o charakterze ideologicznym i duchowym uważam za bardzo interesujące. Wszystko zaś bierze swój początek w fakcie, że Biblia jest fascynującą lekturą.

MJ: Nadzwyczaj wytworna oprawa do prawniczej narracji.

RZ: Myli się pan. To nie tylko oprawa. Tekst, który mam zamiar wkrótce opublikować w „Archiv der civilischen Praxis”⁶ opatrzyłem pewnym mottem. To cytat z pierwszego listu św. Pawła do Tymoteusza: „A jeśli ktoś nie dba o swoich, a zwłaszcza o domowników, ten wyparł się wiary i gorszy jest od niewierzącego”⁷. Naturalnie, sprawdziłem, jak ten fragment jest obecnie interpretowany w komentarzach do Biblii. W domu mam leksykon *Religion, Geschichte und Gegenwart*, z którego chętnie korzystam. Okazuje się, że fraza ta już wcześniej była wykorzystywana przez prawników. Wielki szkocki jurysta James Dalrymple stwierdził w oparciu o ten cytat, że roszczenia o utrzymanie, jakie przysługują uprawnionym wobec spadkodawców, są dziedziczne. Wywodził, że to powinność natury moralnej, którą wyprowadził z tego jednego biblijnego zdania. Pawłowi z Tarsu chodziło zapewne o coś

⁵ Por. Arist. *polit.* 1,3,16.

⁶ R. ZIMMERMANN, „So jemand die Seinen, sonderlich seine Hausgenossen, nicht versorget, ...“ – Zum Schutz der Angehörigen bei Enterbung (“But if any provide not for his own, and specially for those of his own house ...” – On the Protection of Relatives from Disinheritance), «Archiv für die civilistische Praxis» 222.1/2021, s. 3-55.

⁷ 1 *Epist. ad Tim.* 5,8: *Si quis autem suorum et maxime domesticorum curam non habet, fidem gavavit et est infideli deterior.*

innego, ale jego opinia przyniosła taki właśnie skutek. Aby jeszcze bardziej pobudzić zainteresowanie czytelnika, właśnie ten cytat wybrałem jako motto. Równie dobrze mogłem dać coś z Monteskiusza, którego zapatrywania odegrały wielką rolę, jeżeli chodzi o rozwiązania przyjęte w związku z poruszaną tematyką w Ameryce Łacińskiej (francuski myśliciel twierdził, że obowiązkiem ludzi jest troska o własne potomstwo, która nie realizuje się wyłącznie przez powoływanie go do dziedziczenia). Chciałem to wszystko odnieść do obowiązku alimentacyjnego w prawie niemieckim, umieszczając go na tle historii religii oraz tradycji religijnej przedstawicieli szkoły prawa natury i myślicieli oświeceniowych. Wszyscy oni postrzegali tę sprawę w sposób zaskakująco podobny. Jednym głosem mówili Grocjusz, Puffendorf, Monteskiusz, Dalrymple i inni. Mnie jednak najpiękniejszy i najadekwatniejszy wydał się cytat z Biblii. Jest to przykład najświeższy, ale również w *Law of Obligations*⁸ umieściłem całą serię cytatów biblijnych.

MJ: Ze smutkiem chciałbym powtórzyć, że w równym stopniu podoba mi się pańskie podejście, co żałuję, że nie jest ono popularne w moim kraju.

RZ: To proszę je spopularyzować! Prawo to nie tylko ustawy i pozytywizm, ale o wiele więcej. Prawo wiąże się z całą historią religii i duchowości. Dopiero uwzględnivszy te elementy, zyskujemy w miarę pełny obraz, którego ważnym komponentem jest teologia. Marzy mi się zorganizowanie seminarium, w którym wzięliby udział prawnicy, teologowie, literaturoznawcy i muzycy. Jurysprudencja i teologia mają ze sobą szczególnie dużo wspólnego – na przykład hermeneutykę czy naukę o metodzie. W literaturze jest podobnie. Tymczasem w teorii muzyki ważną rolę odgrywa formuła implikacji.

MJ: W interpretacji średniowiecznych dzieł sztuki łączne wykorzystanie wiedzy prawniczej i teologicznej również daje wspaniałe rezultaty. Dla historyka sztuki nieznanomość lub słaba znajomość Biblii jest kalectwem uniemożliwiającym rzetelne wykonywanie zawodu.

⁸ Zob. R. ZIMMERMANN, *The Law of Obligations: Roman Foundations of the Civilian Tradition*, Oxford 1996.

RZ: To samo dotyczy prawników! Proszę zwrócić uwagę, że zarówno prawnicy, jak i teologowie mają swoje kanoniczne teksty. To ich święte księgi, można powiedzieć. Teksty te podlegają interpretacji, co prowadzi do fundamentalnego pytania: jakiej metody interpretacyjnej należy użyć? Czy liczy się wyłącznie to, jak sam autor chciał, by był rozumiany jego tekst? A może ważniejsze jest, jak my go rozumiemy? Mówię oczywiście o wykładni subiektywnej i obiektywnej. Prawnicy mają swoje sposoby, teologowie swoje, a ja bardzo ubolewam, że nie został nawiązany jakiś pogłębiony dialog, który umożliwiłby wzajemne podzielenie się doświadczeniami.

MJ: Wracamy więc do tego, jak bardzo potrzebne jest pluralistyczne podejście w badaniach romanistycznych. Chociaż, co się tyczy teologii, to pewien niepokój odczuwam w związku z koncepcją „czystości doktryny” (śmiech)...

RZ: No tak... W środowisku naukowym zdarza się, że krzewi się swoiście rozumianą „czystość doktryny”. Jej głosiciele zachowują się tak, jakby tylko oni mieli rację. Wszyscy inaczej myślący są dla nich „odszczepieńcami”, „heretykami”...

MJ: Kim więc jest romanista? Komu można wydać „romanistyczną legitymację”? Czy romanistą jest ktoś, kto opracowuje intelektualną biografię na przykład Adolfa Bergera? Aby zestawić jego poglądy i dokonać ich syntezy, nie trzeba znać łaciny... Czy jednak podobnego rodzaju badania to wciąż prawo rzymskie?

RZ: Chodzi panu o to, czy można mówić o nauce prawa rzymskiego wtedy, kiedy ktoś pisze biografię Bergera?

MJ: Na przykład.

RZ: Biografia intelektualna powinna się odnosić do systemu naukowych wartości uczonego, a system ten ewoluuje. Należy uwzględnić wszystkie jego dokonania. W przypadku Bergera uważam, że łacina jest konieczna. Nie chodzi przecież o to, by w prosty sposób przybliżyć koleje czyjegoś życia. Należy uchwycić poglądy badanej postaci, zbadać oddziaływanie jej prac. Berger pisał oczywiście po niemiecku i włosku, ale też po polsku. Aby go w pełni zrozumieć, wypadałoby nauczyć się polskiego.

MJ: To bardzo miłe (mówię to jako Polak), ale zarazem radykalne podejście.

RZ: Ale konieczne! Znajomość polskiego pozwoli suwerennie zapoznać się z korespondencją, którą pozostawił.

MJ: No tak...

RZ: Mówimy teraz o ważnych sprawach i coś mi się przypomniało. Swego czasu utrzymywałem kontakt z profesorem Tomaszem Giaro. Był on wtedy taki, jakby powiedzieć, zacierzwiony, konfrontacyjny. Upatrzył sobie Paula Koschakera. Twierdził, że dla tego autora Europa to tylko Zachód. Miał mu za złe, że zaniedbywał przy tym Polskę, Czechy itd. Zawsze uważałem, że to spora przesada i nigdy tej jego postawy nie zrozumiałem. Tymczasem profesor Giaro napisał o tym całą książkę!⁹ Nazywał Koschakera „trubadurem Zachodu”¹⁰. Było mi przykro, gdyż zawsze podziwiałem Koschakera za jego osiągnięcia. Jako autor i uczonego zrobił to, co potrafił. Poruszał się w ramach możliwości, jakie stwarzała mu jego znajomość języków. Przypuszczam, że nie znał polskiego. Na miejscu Koschakera przyjąłbym zblizoną do niego perspektywę. Nie odważyłbym się pisać na temat polskiej historii prawa, ponieważ nie znam języka. Wobec powyższego pozostaje napisanie czegoś wartościowego na temat zachodnioeuropejskiej historii prawa. Oto właśnie Paul Koschaker i jego *Europa und das römische Recht*¹¹. Ubolewałem i ubolewam, że profesor Giaro w taki sposób do tego nie podszedł.

MJ: Może po latach zmienił zdanie?

RZ: Nie miałem okazji tego ustalić. Profesor Giaro przebywał kiedyś w Bonn, gdzie pracował pod opieką profesora Rolfa Knütela, więc jest to człowiek posiadający gruntowne romanistyczne przygotowanie. Najwyraźniej uległ następnie innym prądom. Niedawno odwiedziłem Bonn, gdzie wygłosiłem referat na symposium upamiętniającym profesora Knütela. Profesor Giaro też tam był. Niestety, rozmawialiśmy tylko chwilę i nie było możliwości poruszenia tego tematu. Nie wiem nawet, czy mu się dobrze wiedzie.

⁹ T. GIARO, *Aktualisierung Europas: Gespräche mit Paul Koschaker*, Genova 2000.

¹⁰ T. GIARO, *Der Troubadour des Abendlandes*, [w:] *Rechtsgeschichtswissenschaft in Deutschland 1945 bis 1952*, red. H. SCHRÖDER, D. SIMON, Frankfurt am Main 2001, s. 31-76.

¹¹ P. KOSCHAKER, *Europa und das römische Recht*, München 1947.

MJ: Też uważam, że to my, Polacy, jesteśmy odpowiedzialni za promocję i popularyzację w świecie naszych własnych osiągnięć. Oczekiwanie, że Niemcy zrobią za nas to, co powinniśmy już dawno zrobić sami, wydaje mi się niedorzeczne. Proszę mi wybaczyć, ale równie śmieszne wydaje mi się budowanie poczucia własnej wartości w oparciu o opinie Niemców.

RZ: Oczywiście.

MJ: Chcę przez to powiedzieć, że mamy bardzo ciekawą historię prawa, ale jestem przeciwnikiem spoglądania na nią przez „niemieckie okulary”.

RZ: Bardzo mi miło, bardzo... (śmiech).

MJ: Problem leży na płaszczyźnie komunikacyjnej. W badaniach nad historią prawa Niemiec i Polski należy korzystać z innych narzędzi, gdyż Polska nie doświadczyła recepcji prawa rzymskiego na wzór zachodni. Nie możemy budować własnej narracji przez posługiwanie się niemieckimi, włoskimi czy jakimikolwiek innymi szablonami. Trzeba stworzyć (lub odkryć na nowo) własne. Prawo rzymskie nigdy nie było w Polsce częścią systemu, ale niemal od początków istnienia państwa polskiego tworzyło ważny komponent naszej kultury. Bezkrytyczne uznanie, że kanonicznymi formami recepcji były procesy dokonujące się w Europie Zachodniej, może przynieść wspaniałe rezultaty w Niemczech, ale w przypadku Polski prowadzi donikąd.

RZ: Ależ chodzi o to, że my nie wiemy o tym! Na ten temat powinni pisać polscy historycy prawa i oczywiście idealnie dla nas byłoby, gdyby pisali też po angielsku i niemiecku. W ten sposób i my będziemy mogli korzystać z ich ustaleń. Zdaję sobie sprawę ze znaczenia prawa rzymskiego w Polsce. Wszak nawet w okresie komunistycznym był to przedmiot nauczany na uniwersytetach. Traktowano go jako jeden z ważnych kanałów komunikacyjnych łączących Polaków z Zachodem.

MJ: Oczywiście! W naszym kraju prawo rzymskie w XX wieku stało się również synonimem prawa sprawiedliwego.

RZ: A więc jest ono do pewnego stopnia synonimem prawa naturalnego, prawda? Tak twierdził Koschaker.

MJ: Można tak powiedzieć. Ciekawe jest, że właściwie nie wiemy, dlaczego to akurat w Polsce przyszło mu odegrać tak znaczącą rolę.

Wiele dla popularyzacji tego mitu zrobiło opowiadanie Louisa Aragona *Prawo rzymskie przestało istnieć*¹².

RZ: Bardzo ciekawe. Przyszło mi do głowy to jeszcze, że ustrój Polski swego czasu opierał się na wzorcach rzymskich. Do XVIII wieku Polska była demokracją.

MJ: Zgadza się. Polska szlachta tymczasem nie tylko uważała się za spadkobierców Rzymian, ale wielu z nich myślało o sobie, że są Rzymianami. Przejęte i przetworzone polityczne instytucje rzymskie sprawiły, że polskie sejmiki określano jako *comitia*, a interwencje szlachciców zrywających sejmy (*liberum veto*) przez wielu postrzegane były jako działania pozytywne społecznie. Sejmowi pieniacze czuli się jak reinkarnacje Grakchów. Są to zjawiska ciekawe i unikatowe zarazem. Właśnie ta wiedza powinna być popularyzowana na świecie przez Polaków.

RZ: Kiedy przybyłem do Republiki Południowej Afryki, powiedziałem coś podobnego tamtejszym kolegom: „o prawie rzymsko-holenderskim w waszym kraju oraz na temat południowoafrykańskiej historii prawa powinniście pisać wy!”. Tak samo uważam, że wy, Polacy, sami wiecie najwięcej na temat własnej historii, tradycji oraz roli, jaką prawo rzymskie odegrało w waszych krajach. Dlatego powinniście pisać o tym sami. Nie wątpię, że znajdą się czytelnicy waszych prac. Byłyby to ważny wkład w procesie znajdowania zrozumienia pomiędzy światem Zachodu i Europą Środkową (*Mitteleuropa*).

MJ: Zna pan Polskę?

RZ: Kiedyś odwiedziłem profesora Wiesława Litewskiego w Krakowie. Opiekował się wtedy nami jeden z jego asystentów. Pokazywał nam miasto, jedliśmy razem i dużo rozmawialiśmy. Kiedy znalazłem się znowu w Hamburgu, on też tam był. Pracował w polskim konsulacie, jako że wstąpił do służby dyplomatycznej. Wielokrotnie go tu spotykałem.

MJ: Andrzej Kremer.

RZ: Tak, to był on. Zginął w katastrofie samolotowej razem z prezydentem.

MJ: Odbieглиśmy nieco od tematu pańskich studiów na uniwersytecie...

¹² Zob. M. KURYŁOWICZ, *Symbol prawa ludzkiego. Szkice o prawie rzymskim w utworach Louisa Aragona i Mieczysława Jastruna*, Lublin 2008.

RZ: To prawda. Wróćmy więc do auli wykładowej. Otóż z powodu mojego zainteresowania językami i historią znalazłem się pod urokiem prawa rzymskiego. One zbliżyły mnie zarówno do niego, jak i do komparatystyki prawniczej. Dlatego od początku zainteresowałem się historią oddziaływania *ius Romanum* na późniejsze porządki prawne. Chciałem zobaczyć, co się z nim działo na przestrzeni wieków. Trudno mi było zrozumieć, dlaczego wykład z prawa rzymskiego kończył się na Justynianie, podczas gdy wykład z kodeksu cywilnego (BGB) rozpoczynał się od ogólnego przybliżenia prac komisji kodyfikacyjnych. Prawo angielskie, francuskie, włoskie wykładano tymczasem jako odrębne przedmioty. Myślałem wtedy: „przecież to wszystko trzeba omawiać łącznie!”. Dziś też uważam, że należy dostrzec drogi rozwoju poszczególnych instytucji i zrozumieć, co z tego wynikło. Trzeba zobaczyć, na czym bazuje prawo współczesne, dlaczego w pewnych obszarach zmieniał się ono na przestrzeni wieków, a w innych pozostało niezmienione. Były to refleksje, które stale mi wtedy towarzyszyły.

MJ: Przekuł pan ideę w czyn od razu? Od początku przyjął pan taką postawę w swoich badaniach?

RZ: Starałem się, ale szczególny impuls dał mi pobyt w Kapsztadzie, jako że wtedy wciąż obowiązywało w Republice Południowej Afryki prawo rzymsko-holenderskie. Otworzyła się tam przede mną zupełnie nowa perspektywa. Byłem przyzwyczajony do idei kodyfikacji i do pewnych ogólnych schematów, za pomocą których wykładałem prawo cywilne. W RPA z całą wyrazistością dotarło do mnie, że kodyfikacje to jedno, ale do zrozumienia ich genezy i budowy poszczególnych instytucji prawnych potrzebna jest historia prawa. Ten wątek w Niemczech najczęściej nie jest wydobywany, co skłoniło mnie do przygotowania historyczno-krytycznego komentarza do BGB.

MJ: W Polsce nie mamy takiego komentarza do kodeksu cywilnego. Bardzo nad tym ubolewam.

RZ: To niech pan go napisze.

MJ: Bardzo dziękuję za ten atomowy komplement. Obecnie nie czuję się na siłach, ale nie zapomnę tej rady (śmiesz)... Ile czasu spędził pan w Republice Południowej Afryki?

RZ: Osiem lat, ale niekiedy czuję się, jakbym wciąż tam był. Obecnie pracuje ze mną w Hamburgu między innymi młody Południowoafrykańczyk – Max Taylor.

MJ: Czy uderzyły pana jakieś lokalne osobliwości, jeżeli chodzi o klimat uniwersytecki w RPA?

RZ: To złożone zagadnienie. Pracowałem na uniwersytecie w Kapsztadzie (University of Cape Town), który jest uczelnią funkcjonującą bardzo w stylu angielskim i prezentującą liberalny model uniwersytetu. Ma mocno „spłaszczoną” strukturę. Jako profesor nie miałem tam asystentów, tylko współpracowników, spośród których każdy działał na własny rachunek. Wszyscy realizowali swoje projekty badawcze. Moi młodszy koledzy z katedry nie pracowali więc dla mnie i na mnie, lecz dla siebie, a niekiedy tylko robiliśmy różne rzeczy wspólnie. To mi pozostało. Owszem, podlegający mi tu współpracownicy czytują czasami moje teksty i pomagają mi w tym lub owym, ale zasadniczo są „na swoim”. Opracowują własne tematy. Przede wszystkim skupiają się na przygotowywaniu rozpraw doktorskich i habilitacji. Tego modelu współpracy nauczyłem się właśnie w RPA, gdzie wszyscy byliśmy kolegami. Podobał mi się tam również prosty i bezpośredni kontakt wykładowcy ze studentami. Życie nie było aż tak bardzo zhierarchizowane, jak tu. Dość powiedzieć, że należałem wraz z moimi studentami do tego samego klubu sportowego.

MJ: Wydaje mi się, że taki model życia uniwersyteckiego niesie wiele korzyści dla wszystkich.

RZ: Bardzo go sobie chwaliłem. Swoje robiła też różnorodność wśród słuchaczy. Poza studentami miejscowymi (co już samo w sobie jest pojęciem niezwykle pojemnym) mieliśmy Anglików, Hindusów itd. Uczyliśmy młodych ludzi posługujących się językami lokalnymi oraz tych mówiących jedynie po angielsku. Swego czasu ukonstytuowała się nawet grupa niemieckojęzyczna. Prawdziwy tygiel ras i narodów! Zupełnie inaczej jest tu, gdzie kultura ma charakter dosyć homogeniczny. Proszę sobie wyobrazić, że z kulturą żydowską zapoznałem się bliżej nie w Hamburgu, ale właśnie w Kapsztadzie!

MJ: Nie sądziłem, że społeczność żydowska w Republice Południowej Afryki jest liczna.

RZ: Sam nie zdawałem sobie z tego sprawy! Tymczasem w Kapsztadzie mieszka mnóstwo Żydów, którzy niekiedy potrafią być bardzo zarozumiali. Urodziłem się i wychowałem w Hamburgu, gdzie nigdy nie spotkałem się z czynieniem rozróżnień w rodzaju Żyd – nie Żyd. *What does it matter?* Jakie to ma znaczenie, czy ktoś jest Żydem czy nie? Niemniej, Żydzi, których poznałem w Kapsztadzie, wydali mi się zarazem społecznością świadomą i dumną ze swojej kultury. Z początku czułem się nieco wyobcowany, ale z czasem zacząłem więcej rozumieć i postanowiłem poznać ich lepiej. Pomogły mi personalia. Zimmermann to nazwisko żydowskie, a w każdym razie mogłoby być żydowskie i pochodzić gdzieś z Litwy bądź Polski (weźmy chociażby Krystiana Zimmermanna – pianistę). Kiedy miejscowi pomyśleli, że mogę być Żydem, wiele drzwi otwarło się przede mną. Zapraszano mnie do domów, mogłem chodzić do synagogi, nakładałem jarmużkę. Bardzo mnie to wszystko fascynowało. Zyskałem żydowskich przyjaciół.

MJ: Zbliżył się pan w podobny sposób do jakiegoś innego narodu w RPA?

RZ: Tak. Nauczyłem się języka południowoafrykańskiego *xhosa*. Byłem profesorem, ale codziennie uczestniczyłem w lektoracie z tego języka wraz ze studentami, którzy też chcieli się go uczyć.

MJ: Mogę spytać: po co?

RZ: To oczywiście! Zawsze uważałem, że język jest kluczem do kultury, a ponieważ znalazłem się w RPA, powinienem znać angielski, *afrikaans* (wcześniej trochę się go już uczyłem), ale poza tym dobrze byłoby znać któryś z języków „czarnych”. Byłem wstrząśnięty, kiedy przekonałem się, że białych Południowoafrykańczyków w ogóle to nie obchodziło. Nie znali „czarnych języków” i nie chcieli się ich uczyć. Sam siadałem sobie więc ze studentami i... (śmiech).

MJ: Jak szła nauka?

RZ: Nieźle, ale dzięki temu, że znalazłem sposób na optymalne przyswojenie materiału. Moim najlepszym kolegą ze szkolnej ławy był młody Żyd. Dwa razy w tygodniu spotykaliśmy się – raz u mnie w mieszkaniu, raz u niego. Potrzebowaliśmy się wzajemnie, ponieważ on dobrze mówił, ale słabo znał gramatykę, a ja na odwrót. Doskonale się więc uzupełnialiśmy. Każde spotkanie trwało dwie godziny. W ich trakcie

opowiadał mi sporo o swoim życiu, o rodzinie i o tradycji, w której wzrósł. Były to drobiazgi, ale bardzo ułatwiające przyswajanie języka. Mówił mi, co lubi jeść, jakie święta obchodzi jego rodzina... Poznałem zupełnie nowy kulturowy świat.

MJ: Czy jeszcze ma pan jakieś reminiscencje związane z południo-woafrykańskim życiem uniwersyteckim?

RZ: Najważniejszym jego komponentem jest liberalny duch, któremu obca jest nasza hierarchiczność. Powiedzieć, że ten klimat mi się podobał, to za mało. On mi imponował! Wiele z tego, czym przesiąknąłem w RPA, pozostało we mnie. W RPA próbowałem być ambasadorem kultury niemieckiej. Kiedy jednak wróciłem do Niemiec i znalazłem się w Regensburgu, a potem w Hamburgu, natychmiast podjąłem starania, by przeszczepić na ten grunt elementy kulturalne, które przyswoiłem w Republice Południowej Afryki.

MJ: Udało się?

RZ: Cóż, Regensburg leży w Bawarii... To zupełnie inna rzeczywistość niż chociażby Hamburg. Chcę przez to powiedzieć, że i w Niemczech istnieje wiele zróżnicowanych kultur. Nie wiem, czy się udało, ale mogę zapewnić, że gdziekolwiek się znalazłem, uważałem się za ambasadora kultury.

MJ: Chciałbym zapytać o pana najbardziej chyba znane dzieło, to znaczy *The Law of Obligations*. Jak to się stało, że napisał pan książkę inną niż wszystkie?

RZ: Nie chciałem moim studentom w RPA przedstawiać wiadomości jedynie na temat porządku prawnego antycznych Rzymian. Prawo rzymskie było dla nich przedmiotem obowiązkowym, a ja przypisany byłem do katedry prawa rzymskiego i komparatystyki prawniczej. Dla drugiego roku wykładałem prawo rzymskie w wymiarze jednej godziny tygodniowo. W pierwszym semestrze skupiałem się na prawie rzeczowym, a w drugim na zobowiązaniach. Nigdy nie było moim celem stworzenie przekazu w rodzaju: „o, tak było w prawie rzymskim, kropka, dziękuję”. Pragnąłem wyjaśnić moim słuchaczom, co oznaczają dla nas dzisiaj procesy, które zaszły w antyku i później. W szczególności miałem na uwadze prawo rzymsko-holenderskie w RPA. Odczuwałem brak odpowiedniego podręcznika, ale wykład od początku budowałem według

metody, której założenia przedstawiłem wyżej. Opowiadając na temat rzymskiej pożyczki (*mutuum*), nie kończyłem na tym, że Rzymianie znali tę instytucję i nawet wiedzieli, co to takiego odsetki. Opowiadałem również o średniowieczu, w którym z jednej strony wprowadzono kanoniczny zakaz pobierania odsetek, a z drugiej w oparciu o źródła antyczne stworzono konstrukcję *contractus mohertae*, która pozwoliła z premedytacją ten zakaz obchodzić. Uważałem, że takie ujęcie będzie o wiele ciekawsze dla studentów. Wychodzimy od prawa rzymskiego i przyglądamy się dokonaniom Rzymian, ale dobrze jest następnie rzucić też okiem na to, co było dalej. Wierzę, że taka perspektywa w odpowiedni sposób formuje proces kształcenia studentów. Ponieważ więc ułożyłem wykład, do którego brakowało podręcznika, powiedziałem sobie w duchu: „czas napisać książkę”.

MJ: Wygląda na to, że miał pan starannie przemyślane plan.

RZ: Nie do końca. Wiele rzeczy zadziało się spontanicznie na czele z rozpoczęciem procesu wydawniczego. Ukazanie się tej książki było dziełem czystego przypadku. Mój dziesięć lat starszy ode mnie przyjaciel i kolega po fachu z uniwersytetu Stellenbosch (to afrykańska uczelnia oddalona siedemdziesiąt kilometrów od Kapsztadu) otrzymał propozycję od południowoafrykańskiego wydawnictwa Juta & Co., aby napisać podręcznik do prawa współczesnego z odesłaniami do prawa rzymskiego. Mój przyjaciel interesuje się prawem rzeczowym. Wiedział, że jestem w Kapsztadzie i że znam angielski, więc zaprosił mnie do współpracy i zaproponował opracowanie zobowiązań. Kiedy upłynęło trochę czasu, a moja praca była już dosyć zaawansowana, okazało się, że on nie miał dotychczas możliwości, by popracować więcej nad naszym projektem. W tej sytuacji zdecydowaliśmy (była to decyzja wspólna – zaznaczyłem to wyraźnie we wstępie), że rozejdziemy się po przyjacielsku. Ustaliliśmy, że odtąd każdy będzie pracował niezależnie od drugiego. Zgodziliśmy się, że kiedy on skończy prace nad prawem rzeczowym, wyda własną książkę *The Law of Property*. Ja tymczasem dokończę i złożę w wydawnictwie moje dzieło, które będzie nosić tytuł *The Law of Obligations*. Wydawnictwo Juta & Co. wydało mi ją. Kolejny przypadek sprawił, że moment ukazania się książki przypadł na czas, kiedy byłem już w Regensburgu. W chwili powrotu do Niemiec około

trzy czwarte pracy miałem ukończone. Ostatni rozdział poświęcony czynom niedozwolonym pisałem, będąc już formalnie w Regensburgu. Tamtejszy wydział prawa okazał się wielkoduszny...

MJ: Dlaczego?

RZ: W RPA przez siedem lat pracowałem jako wykładowca i nigdy nie wzięłem urlopu zdrowotnego, naukowego ani jakiegokolwiek innego. Co więcej, przez wiele lat pełniłem tam równoległe funkcję dziekana, a wcześniej prodziekana. Kiedy pojawiłem się w Regensburgu, byłem nieco zmęczony, ale i zdeterminowany. Władzom wydziału oświadczyłem: „to dzieło musi zostać ukończone, a wy macie mi to umożliwić!”. Moja „prośba” spotkała się ze sporym zrozumieniem, gdyż usłyszałem: „proszę przyjechać do nas i przez semestr poprowadzić zajęcia, abyśmy mieli pewność, że naprawdę chce pan wrócić do Niemiec. Kolejny semestr będzie pan miał dla siebie. Nie powierzymy panu żadnych zajęć, obowiązków ani funkcji administracyjnych”. Obawy władz wydziału były poniekąd uzasadnione, ponieważ w RPA wciąż miałem mieszkanie, samochód i doskonale poukładane życie. Zgodnie z umową przyjechałem wtedy do Regensburga, uczyłem przez jeden semestr, a następnie znowu znalazłem się w RPA, gdzie udało mi się ukończyć prace nad książką. Wtedy wróciłem do Niemiec na dobre.

MJ: Warto było wykonać kolejny skok?

RZ: Przyznam się, że nie było mi łatwo. Siedem pełnych lat spędziłem w RPA, ale ten rok ósmy, przejściowy, był najtrudniejszy. Książka zyskała jednak w Niemczech pewien poklask. Zainteresowało się nią wydawnictwo C.H. Beck, po czym przysłała oferta z Oxford University Press.

MJ: A teraz znają ją wszyscy. W moim kraju jest to dzieło bardzo popularne.

RZ: Naprawdę? Korzystacie z tego, przygotowując zajęcia dla studentów?

MJ: Wydaje mi się, że częściej jest wykorzystywane w pracy naukowej.

RZ: Bardzo mnie to cieszy.

1 listopada 2021 roku w Max-Planck-Institut für Ausländisches
und Internationales Privatrecht
przed obiadem wysłuchał Maciej Jońca